BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!

II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.

III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!

IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.

V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.

VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.

VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!

VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!

IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.

X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

347

Juljusz Kaden-Bandrowski

MOGIŁY



ZAMOŚĆ
ZYGMUNT POMARAŃSKI i SPÓŁKA

Złożono i odbito czcionkami tłoczni „SATURN" w Warszawie,
przy ulicy Marszałkowskiej L. 91. — I. 1919.

OD AUTORA...

Krew na tych stronicach schnie, śmierć na nich leży młoda...

Wielkie przywiązanie w małych się słowach rwie bezdarnie...

Krótka historya tych żołnierzy nie wyczerpuje ich doli, niewielu chwil opowieść nie otwiera tajemnicy serc rozbitych... Został po nich w szeregu wojskowym zamach rycerski, prosty, a w świecie gdzieś, w domu, w rodzinie, we dworze, w mieście, w chałupie głębokie kręgi,—całe aureole miłości i przywiązania.

Ten prosty zamach rycerski wiąże się z kołem najłagodniejszego przywiązania—i nie wiadomo jak wybrnąć z wrogich uczuć sprzeciwu?...

Czy pod dachy polskie i strzechy ma płynąć klangor rzewny z pól naszej walki, westchnień najdroższych więź i krwawa szmateczka pamięci?... Czy ma się obficiej jeszcze wiązać różaniec łez?...

Czy też wszystko ma przezwyciężyć twardy żołnierski żal i to jedyne w świecie ramion męskich wzruszenie nad mogiłą?...

Myślę, że się jedno z drugiem godzi szczęśliwie i harmonijnie,—jak godzi się miłość i śmierć, życie i walka... Dlategom w tych krótkich wspomnieniach pomięszał śpiesznie formalne wyliczenie czynów i dat z lirycznem wzruszeniem, dlategom

wiązał nieraz jeden moment walki z całem pasmem życia...

Śmierć się tak ściśle plecie na wojnie z życiem, pamięć tak łacno tonie w spojrzeniu niepamięci, wesele tak snadnie plącze się wśród krzyżów, a na weselu tak często krzyżem lec wypadnie... Nie milknie dźwięczny śpiew słowików w strasznym rozgwarze dział, trawy nie więdną od krwi, a śnieg się ledwie chwilę rumieni... Przeto myślę, iż najgodniejszą teraz jest rzeczą podać czułości i podać męstwu Polaków tej śmierci wiązankę szkarłatną— tak z brzega... Tak bez kolei, jak ścinał Los...

Iżbyście mieli znak widomy, jak nam nie stawało czasu na próżne żale gorzkie... Iżbyście mieli znak widomy, w jak skorym byliśmy rozpędzie, gdy nas śmierć cięła i jak niewiele roztargnienia wnosiła do szeregu walczących o życie...

Książka ta nie może stanąć na półkach pięknej i kunsztownej literatury polskiej. Nie masz dla niej miejsca obok rozważnych historyi wojennych, ani nawet jawić się jej wypada obok tych wszystkich prac, w których się zlicza skrupulatnie wysiłek i ofiarę młodego żołnierza polskiego.

Książki tej miejsce upragnione w kieszeni polowego munduru, obok kartki na owies, w plecaku, obok manierki i czapki Tego, który nie wróci już nigdy do domu... Wreszcie na kolanach małego sztubaka pod ławą, w czasie wykładu historyi—o buncie Spartakusa...

PIERWSZY ŚNIEG.

Nie można tego inaczej wyrazić jak tylko, że ponad wszystkiem, w wojennym rumorze niebiosów przeciąga tęsknota ogromna...

Dzień zimny, suchy, blady... Po rudych, zgasłych polach wiatr się trzęsie, wśród pokruszonych krzewów dreszcze się sypią nieustanne, a z lasu wiew ponosi szeroki, wielki i leci sam nie wie dokąd i wraca sam nie wie skąd...

Cóż wiatr, cóż dzień i noc, cóż puste okopy i piach, co się wnich ciurkiem klepsydry przesypuje?... Cóż połamane żelazo, cóż drogi przetarte na bezdroża, cóż sosen sztywne stuły — żołnierz się bije!!

Czarne gardziele haubic coraz wyszczekują ku niebu i słowo nagłej śmierci lata miarowo po stropie, nad głowami ludzkiemi się huśta. Po całym froncie kroczy straszne łamanie kości... To karabiny biją nierównomiernie... Aż oto zadudniła szatkownica... Terkocze karabin maszynowy, równiutko, prędkim ściegiem...

Zamknijże oczy... Cały ten huk i palbę usłyszysz, jak gwałtowne skwarzenie się tłuszczu na ogniu...

Zapomnij... Mając sześć lat, prowadziłeś takie baterye ołowiane w ciepłym pokoju na pozycye pod fotel ..

Armaty co parę sekund oddają kolejno strzał. Ludzie zawzięli się. Kują tę śmierć cierpliwie i stanowczo. W kaskach śpiczastych, w ciemnych skórzanych kubrakach lśnią, jakby byli ze stali.

Nieprzyjaciel odpłaca... Tryskają dokoła bure, sypkie fontanny śmierci... Powyrywamy sobie ziemie z pod nóg i na czem się bić będziemy?...

Raz w raz wybłyska ogniste żądło, raz w raz przepada za wiatrakiem brudna szmata dymu...

W zgruchotanej wsi sepleni czarna łuszczyca spalenizny. Jedno skopane rumowisko!... Drogę zagradza ogromny żołnierz rosyjski. Ręce trzyma do strzału, karabin mu się z nich wywalił i leży we krwi... Na błocie manierki, tornistry rozdeptane, naboje, suchary, jak igły, wszyte w glinę bagnety..

Z boku okop. Przed nim w najszybszym wstrzymani pędzie runęli żołnierze niemieccy. Leżą na wznak. Pewno nauczyciel ludowy, cieśla, robotnik i filolog...

Dlaczego właśnie oni?... Wszystko mają na sobie tak solidnie dopasowane, jakby im to starczyć miało na całe lata wojny... Leżą dumni... Przyjęli śmierć z rozkrzyżowanemi ramionami ludzie z żelaza i posłuszeństwa.

Szare chmury wołyńskie płyną im w oczach... Śliczny chłopak, na skraju leżący, zaciął usta surowym gestem twarzy Feuerbacha.

Znów droga, jak wśród wielkich okruchów zeschłego chleba, w pośród trupów rosyjskich.

Na całym froncie trzeszczy straszne łamanie kości, między chałupami tryskają sypkie fontanny

ziemi, z powijaczków białego dymu przebija się złoty pazur i szare kulki szrapnela kurzą dokoła.

Wśród ocalałych chałup stzóżuje nasz ułan. Łazi tam i napowrót... Na złotem tle olszyny przemija wyniośle jego pyszny kask.

Wiatr grzebie w słomie podworca i jęki stamtąd wygania zapomnianego sołdata rannego.

Jedziemy — rozkaz!

Właśnie gdyśmy koni dosiadali, stoczyło się z nieba lżejsze, niż piórko, cichsze, niż samotność, maluśkie źdźiebełko śniegu.

Jedziemy... Drogi się nam chwiejne pod nogami plączą, białe ukojenie je przesypuje i głuszy... Sen się rozwija po polach, a lasom bliżej do nieba... Jedziemy wolnym kłusem, mogiły śnieg otula, tu czako husara, tam hełm, tam ośm hełmów na grobie... Poodal drogi wyciąga się na wieki kilku chłopów-sołdatów, a przy wiejskim cmentarzu...

Tłumne bractwo nikłych szarych krzyży ledwie dźwiga suche ramiona.

Kłus, kłus...

Wśród tego marnej doli ostatniego na krzyż przekreślenia, w sinym cieniu drzewców, pod płochym żalem liści drżących — rozkopana mogiła, a u jej brzegu...

Mały żołnierz... Jak wczoraj buty sznurował, tak mu zostaną, jak wczoraj zacisnął pas, tak mu zostanie na wieki... Jak wczoraj spadła mu czapka, tak jej już nigdy nie odnajdzie, jak wczoraj mu się notes przestrzelony rozsypał, tak się już nigdy nie skleci... Tylko kartki krwawe, pospołu z tym śniegiem, włóczyć się będą, latać po świecie, wadzić o

okop, między krzyżami się plątać, w lesie po mchach pełzać, we wodzie tonąć, na równinach biec, przy chatach drżeć...

A wśród mroźnych strzępków i ten serca młodziutkiego strzęp gorący, wśród białych zimy listków i ten list:

„Kochana Mamo! Jeśli ja zginę i list ten dojdzie do Ciebie, to wiedz, żem zginął dla dobra nas wszystkich. Zawszem szedł z tą myślą, żeby wrócić nam wolność tak drogą i niezbędną dla Polaków. Przez same ofiary zbliża się właśnie ta chwila. Nic nie odbywa się bez ofiar, a tem bardziej nasza wielka Idea“...

Daleko w lesie grzeją się Strzelcy przy kwiatach wielkiego ognia i śpiewają szeroko:

„Tam na polu błyszczy kwiecie.
Stoi ułan na wedecie...“

„Droga Mamo, jeśli pomyślisz sobie—zostawił, poszedł, to wiedz, że poszedł, bo go wołała druga matka, Ojczyzna. Wspomnij sobie, jak nieraz deklamowałem „Szata Biała“. Żebyś ty, jak owego grafa matka, zamiast płaczu, rzekła: „Niech idzie, widać prędzej nadejdzie chwila wolności, spadną te kajdany hańbiące...

Kochający syn, starszy żołnierz Wojsk Polskich.“

Cóż wiatr, cóż dzień i noc, cóż pokrwawione okopy i śnieg, który je szatą białą wyściela?... Cóż drogi, przetarte w jedną świętą drogę, cóż liści drżących żałowanie i krzyżów ramiona strudzone?...

Daleko w lesie grzeją się i śpiewają żołnierze przy kwiatach wielkiego ognia, a płomienie szumią na wietrze, jak sztandary,..

TRĘBACZ ZE STANISŁAWOWA.

Czarne podwoje—heban, chmura i kir... Wrota nieme i zimny próg.... Przestąpić nikt się nie kwapi, zaś po tamtej stronie stanąwszy nie zazdrości nikomu niczego, a sam urasta olbrzymi—wieczny....

Pierwszy we wrota te wjechał, pierwszy w nich konno stanął trębacz młodziutki.... Droga przed nim nieznana i niewiadoma kolej—heban, chmura i kir....

Czy jeszcze pamiętacie pierwszego naszego zabitego — trębacza ze Stanisławowa?... I że mu nie danem było dożyć wszelakich bojów naszych i że mu nie danem było nikogo żałować i silnego soku wojny kosztować i do syta pić chwały z piołunem?...

Że mu nie danem było nic więcej wiedzieć, jak tylko żeśmy ruszyli na gwałt! Żeśmy się sinym obłokiem przetoczyli po białej wstędze drogi kieleckiej....

A gdyśmy w trzystu z Kielc szli pierwszy raz w życiu ogniem armatnim witani, zaś po raz setny i niezliczony w Polsce przeważającą zaskoczeni przemocą—czy wiecie?...

Nie zakosztował pięknych zbratań koleżeństwa, nie uświadczył hucznej włóczęgi wojennej i pasyi cofania się i radości ataku....

Szrapnel oberwał młodą głowę i nic więcej nie mogły zmieścić te źrenice nieletnie, jak tylko pierw-

szą zorzę walki—najdroższego szczęścia na świecie zaledwie uśmiech najpierwszy....

Można by w liście Brygady zobaczyć, jak się ów trębacz nazywał i podać nazwisko powszechnej pamięci. Jednak młody chłopaczek, a pierwszy pod czarnym łukiem śmierci jeździec i gość wybaczy mi, że nie streszczę tej rzeczy w nazwisku samem.

Bo życie się w tej śmierci pierwszej przenośnie rozrosło:

Pierwszy padł złoty kłos Szeregu.

Trąbkę—złoty róg świeżą ogrzany wargą, śmierć zmiotła pierwszym zamachem, — a walka właśnie trwa dalej!

Herold na błoniu padł, a świetny szereg, jak miał walczyć, tak walczy!..

Więc, jak wojnie przystało i ludziom jej i rzeczom—: Nikt cię nie żegna młody trębaczu,—bądź zdrów, — odjeżdżaj za wrota coraz dalej i dalej, a z tobą.... A z zorzą twych oczu, z cudownym żalem niedoczekanych rzeczy—oni....

My.... Ci z nas, którzy....

Dziś oni—jutro my....

Nie wymienić-że wszystkich ich—jak nie przeliczyć wszystkich kwiatów łąki, nie dojrzeć wszystkiego srebra fali w słońcu i nie doznać wszystkich radości w życiu.... Będę pisać o tych, których znałem blisko, a nie o tych, których nie znałem, taksamo, jak radość mi daje tu godzina poranna, choć i wszędzie indziej godziny poranne są radosne....

Eugeniusz Medyński zginął w świetnym szturmie VI batalionu Fleszara, w bitwie pod Krzywopłotami.

Mówiono, że śpiewał, biegnąc do ataku „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...." opowiadano, że konając, rażony w serce, powierzał komuś list do narzeczonej....

Trudno wiedzieć dokładnie, bo któryż pola walki świadek ma czas zapamiętywania szczegółów?,.. Kto może pamiętać, jak leżał tam, jak się z szarego pola dźwigał młody podporucznik, w mundurze krwawym, rozchełstanym na piersiach. I wzrokiem towarzyszy naprzód biegnących żegnając—czy podawał komuś list. Byłoby to najzupełniej w stylu jego postaci romantycznej.

Całe życie tego porucznika, brunecika o zielonkawych oczach z czarną bródką tak się właśnie układało....

On kresowiec, syn ubogiego szewca—na barykadach Odessy.... On—później na gruzach marzeń, poszukiwany przez policyę, goniony—a łódką jeżdżący do księżyca po srebrnych falach Czarnego Morza.... On — jeden z pierwszych — na szkole Strzelca—wówczas towarzystwa sportowego.... Przez jakąś pomyłkę wygnany z granic monarchii.... Dwukrotny wygnaniec—w Belgii....

Tam znów, bez centa, bez grosza, siłą na zamiary budujący swe wykształcenie. Na to trzeba było umieć nie jeść, nie pić, nie mieszkać....

Ale cóż Medyński — Piłsudczyk! — Człowiek wierny przysiędze, kochający ogień i walkę, jako jedyne oczyszczenie ojczyzny.

Czego tam nie było w tych skrytkach i szufladkach brukselskiej mansardy Medyńskiego! Proch, piroksylina, dynamit — ostrożnie otwierajcie, bójcie się Boga!

To znów—nie ruszać, tego nie można....

Było tam w tych szufladach w proszkach utajone marzenie gniewu i walki....—broń pieszczona....

Medyński miał ów największy honor Piłsudczyka—: Prowadził wojnę, żył w jej pogotowiu na długo przed jej jawnym wybuchem. Całe tygodnie, jesienią nocował w Bois de la Cambre, w lesie, by się hartować do niewygód wojennego rzemiosła. Podczas letnich miesięcy wykonywał z ćwiczonym przez siebie w Belgii oddziałem marsze forsowne, wprawiał się ustawicznie w strzelaniu, czytał bardzo wiele z zakresu literatury wojskowej. Było wówczas dziwne, a obecnie szanowne jest i wielkie, że wierzył w rychły kres swego życia.... Szybki i gwałtowny koniec jego przeczuwając, gromadził zasoby umiejętności i pracy, jakby miał nie jedną, lecz cztery egzystencye do rozporządzenia.

Kolegą Medyńskiego z Belgii był Władysław Brzózka (pseudonim Hańcza). Komik, hałaburda, agronom, handlowiec, oponent wieczny, partyjnik, dziennikarz, tołstojowczyk, fantasta, emigrant.

Był zawsze przeciw nam, gardził powstaniem i wojskowem do niego przygotowaniem, a uznawał jedynie „łeworucyę“.

Bo na domiar wszystkiego wymawiał „r“ zamiast „ł“ i naodwrót.

— Nie żalże wam Brzózka do dyabła—pytałem go kiedyś poufnie po jakiemś nieskończenie zawiłem zgromadzeniu w Antwerpii,—boście pewno krewny, czy powinowaty księdza Brzózki z powstania??....

— A tak, płoszę pana—kłewny, kłewny. Je-

stem ostatni z rodu Brzózków, na mnie się kończy wszystko....

Nie wyglądał na człowieka, na którym wszystko ma się kończyć.

Głowa, jak wystrugana z drzewa na jarmark dla dzieci, z wypukłemi, jakby twardemi oczyma. Duże usta, rumiane policzki, duże błyszczące czoło, łysy i zawadyaka i gaduła—i mistyk....

Śmierć Tołstoja obchodził tygodniowem umartwieniem, pijąc czarną kawę i nago siedząc przed wygasłym piecem.

— Czyście zwaryowali Brzózka?...

— Nie zwałyowałem kochani, wielki człowiek umarł—tłudna łada. Choć pokrócirem się z nim swego czasu.

— Z kim?

— Z Torstojem.

— Wyście go znali?

— Zachciało się go poznać, siadrem na pociąg i złobione—panie.

— O cóżeście się pokłócili?

— I nagadarem mu nawet, panie.—O spławę polską.

Siła złego na jednego....

Tem niemniej, kiedy już wojna wybuchła, kiedy Strzelec już wyruszał, Brzózka wciąż jeszcze marzył o „łewołucyi".

— Marynarze, panie, w Kronstadzie oberwali „fłak" Poincałemu, panie!

Marzył hucznie, kłótliwie, „grośno", aż pewnego rana spotkałem go zakurzonego, spoconego, jak

wracał z Błoń w strzeleckim mundurze i z fajką w zębach, bo naturalnie musiał był sobie, jako żołnierz, odrazu kupić fajkę.

— Bójcie się Boga Brzózka, czyście się wściekli?....

— A „wściekrem“ się!

— Wy u nas?

— Jeszcze tylko rzeczy swoje zawinę, panie kochany, i oddam gospodyni. Jak wrócę, po wojnie będą ręczniki i koszula jak znalazł! Dziś wyruszam...

Ledwo doszedł w oddziale do Miechowa. Nie mógł iść dalej. Pamiętam go tam w fabryce monopolu.

Jaka to była radość — spoczywać w tej rozbitej fabryce wódki rosyjskiej rosyjskiego zła, nieszczęścia i bezprawia, stamtąd iść dalej, tam na miałach pokruszonego szkła front formować!

Dzień był gorący. Brzózka razem z innymi leżał pokotem na słomie, przykryty mokrą szmatą, w wielkiej gorączce nieprzytomny ze znużenia. W strugach słonecznego światła pod szybkim oddechem Brzózki szmata drżała, jak pomięty liść złotego ogromnego łopucha.

Było w tem i w tej chwili coś ponad wszelką miarę czułego, coś z bajki, czy jak ze snu „Nocy letniej“; ten Brzózka gaduła, z fajką w ręku, o twarzy prostodusznego chłopa, a oczach dziecka, na tej srogiej wyprawy progach zaledwie — już tak złamany....

Odprawiono go wtedy do lekkiej służby, do świadczeń.

Nie chciał. Przechorował się i wrócił do pułku.

Powtarzało się to dużo razy. Chorował i znów

wracał coraz słabszy, bardziej wyczerpany, ale trwał w szeregu.

Szła razem z wojną ciężka jesień. Brzózka opuścił się już był zupełnie, wszy go naturalnie oblazły, stał się pośmiewiskiem silniejszych kolegów, sam pełen dzikiej rozpaczy i niecierpliwości na słabowitość swą, pracujący nad siły, a poniżej wszelkiego rezultatu, lecz pomimo wszystko, wierny — wierny walce....

Aż pod Budami Michałowskiemi zginął na odpoczynku w chałupie na słomie i—jak akurat sam był powiedział przed chwilą—ostatniego paląc papierosa.

Dopiero kiedy zginął, zrozumiano, ile miłości ubyło z tym człowiekiem....

Nie przydadzą mu się już ręczniki i czysta koszula, które zostawił sobie w Krakowie na „po wojnie".

Ostatni z Brzózków,—panie kochany,—nieprzejednany wróg Medyńskiego—obaj idą zgodnie w orszaku, minęli już podwoje....

Protokoły burzliwych zgromadzeń w Antwerpii obaj dziś krwią podpisali....

Heban wrót w słońcu się lśni, kir powiewa, młody trębacz jedzie przodem, złotem graniem szeregi prowadzi....

Tylko choć jesteś ostatnim z rodu Brzózków, nie kończy się na tobie wszystko.

Kapitan Kuba-Bojarski zginął pod Łowczówkiem.

Rzecz bolesna, że nie miał żadnych przeczuć, urządzał się w wojsku i gospodarował, jakby ta wojna miała trwać wiecznie....

Choć widziałem w jego notesie jedną kartkę,

która mnie przestraszyła. Gdzieś z boku między rachunkami batalionu napisane: Przyjazd mamy....

Po cóż ta prosta słodycz tutaj—pomyślałem—jak pokuszenie Losu, jak wyzwanie?...

Nikt tak, jak Kuba-Bojarski, przez Brygadyera Piłsudskiego Kubusiem zwany — nie umiał wydać kolumnie komendy—maszerować! Gdy ta kolumna po długim, forsownym marszu zamiast na miejsce spoczynku przyszła na zgliszcza.

Tyle było w tej komendzie serdeczności i powagi.... Zdało się poczciwie celebruje—a nie rozkazy wydaje.

Z pozoru był Kuba-Bojarski uosobieniem miłej przeciętności... Regularna twarz, nizkie, niepojętne czoło, czarne zmyślne i nieduże oczy, rumiane policzki i słodkawo wykrojone usta. A jednak był srogim, wypróbowanym żołnierzem, wojnę krwawą prowadził z sołdatem rosyjskim od czternastego roku życia—na wiele lat przed wojną...

Komendantem batalionu (pierwszego, I pułku I Brygady) był mianowany — i był z tego dumny—na placu boju. Przy całej swej powadze lubił naiwnie wszelką zewnętrzność wojskowego stanu. Opięty był zawsze chrzęszczącymi rzemieniami, osobliwą i bogatą miał szablę. najstaranniej naszyte oznaki, zaś najbardziej podobały mu się sznury srebrne.

Że zginie, dowiedziałem się, gdyśmy stojąc w górach w bitwie pod Limanową otrzymali cały jakiś transport z etapu.

A w tym transporcie właśnie sznury i bluzy ułańskie....

Kto nie był w polu długo, ten nie wie, co zna-

czy przybycie takiego transportu.... To znaczy — że skarby Sezama przyjechały i cała Europa i wytworna czułość cywilizowanego świata — i ponętny, niedościgły wdzięk kultury....

— A ta bluzka to mi się przyda — mówił kapitan Kuba, wyciągnąwszy ją z tłumoka i niosąc w promień słońca, który zwartym prostokątem spadał z okna chałupy na klepisko.

— Komendancie, gdzieżbyście wy chodzili w takiej bluzce, ułanka austryacka do piechoty—ale mnieby się przydała — prosił konny ordynans batalionu.

— No widzicie — kiedy mi szkoda tych złotych sznurów — odpowiedział Bojarski — z dziecinną radością i gustem na nie patrząc.— Później będę sobie je nosić....

Zerwałem się na barłogu. — Później ich nosić nie będziesz — och nie.... — przemknęło mi przez myśl....

Ze śnieżnych gór, z czarnych srebrzystych lasów waliło słońce złomami opalu przez okno. Kuba stał na środku izby i wysoko trzymając ułankę śmiał się do niej i do złotości jej, naiwnie, szczerze, tak radośnie, jak się ludzie śmieją do wzniesionego kielicha, gdy zdrowie nim wznoszą...

Zaś mnie śmierć tętniła w uszach czarnym apelem, nie w porę i okrutna....

Śmierć jeszcze straszniej nie w porę — to koniec porucznika Milki.

— Ach ta nowoczesna wojna — zwykł był żartować, gdyśmy się na zajętych pozycyach nie mogli nieprzyjaciela doczekać — ta nowoczesna wojna!....

Ten straszny huk (najsłodsza cisza leżała na polach) tak mnie denerwuje!....

Proszę cię — podsuwał szarlotkę, czy inny jakiś cud świetnej swej gospodarki kompanijnej, jedzmy szarlotkę, bo nie sposób.... Ta nowoczesna wojna!...

Jadło się u Milki tak, jak nigdzie, spało się, jak nigdzie, śmiało się, jak nigdzie, a bito się wyborowo.... Nadzwyczajny ten oficer miał poza bitwą dar przekształcania wojny w sielankę, w piękną wycieczkę krajoznawczą, której humorem i najweselszym ruchem był on sam....

Jego śmierć nagła (rażony w głowę szrapnelem) wywoła krzyk w szeregach. Ludzie wołali głośno, jakby samym sobie nie wierząc: Komendant Milko zabity! Zabity!

Przyznam się, że ta śmierć była tak dotkliwa, iż mogła była zdemoralizować oddział,—jak Indyan, czy dzikich demoralizuje śmierć dowódcy.

Wracałem z pozycyi, na której Milko padł, już nie chcąc się bić, ani atakować, ani uciekać. Tylko odejść stąd precz, zostawić to wszystko, i skoro padają tak mili ludzie, zabrać się stąd, iść gdzieindziej, zostawić to wszystko.... Taka odraza, taka niechęć rozrastała się we mnie, żem stępo, bez celu, jechał pustą szosą, a szrapnele prały po niej, trzeszcząc w powietrzu rozlatującemi się garściami żelaza.

W parę godzin później spotkałem na wozie ordynansa Milki, Jaśkiewicza.

— Wy też jesteście ranni, Jaśkiewicz?

— Ta gdzie ja ranny—mówił przez łzy—ale ja jeszcze nigdy w życiu tak nie płakał.... Komendant Milko zabity....

Ja już nie mogę....

Nie mogę, nie mogę — odpowiedzą daleko gdzieś w domu najbliżsi, w grubej żałobie, rozpierzchajacy w zmrokach pokoju, jakby cały świat mrokiem był i żałobą. — Twarda, chwalebna pociecha żołnierska do serc ich nie trafi, — że rozkaz — że męstwo — że Ojczyzna....

Ja już nie mogę, nie mogę — skarżą się ociężałe z bólu usta....

Słowa się poplączą — urwą....

Cisza rozdzieli nieprzebyta....

Tylko my, żołnierze, wiemy, że nie czas, nie pora po temu....

Ten kwiat, co tryska z ziemi—bo wiosna idzie—ten kwiat, to źdźbło, to trawa, co tryska z ziemi być może wystrzela z rozbitego serca towarzysza....

Lecz z krzykiem wojny pójdziem naprzód depcząc te kwiaty!.... Te kwiaty, te źdźbła, te trawy, — depcząc wszystko....

Wszystko się zaczyna mój Brzózka,—nic się nie kończy....

Czarny łuk błyszczy w słońcu, kir wiąże się w lekkie uśmiechy.... Młody trębacz nieznany jedzie przodem, a za nim orszak liczny....

I idą, odjeżdżają, murawy im już nie staje, w dalekości są, we mgle—we wspomnieniu.... Murawy im już nie staje—oni sami—murawa....

Dziś oni, jutro my, więc nikt cię nie żegna Trębaczu. Jedź przez wrota, dalej i dalej prowadź swą drużynę, a my pójdziemy naszą drogą, nie patrząc, czy depczemy kwiat, co w wiośnie tej z rozbitych serc zakwita....

POWIESZENIE PODPORUCZNIKA STANISŁAWA KASZUBSKIEGO.

Przyjdzie ktoś, pisarz, poeta, czy myśliciel—czy wieść sama tę sprawę skrzydłami zagarnie, ozłoci i opromieni tak zaszczytnie, że dusza ta stanie w rzędzie innych dusz najwyższych.... Zostanie po niej na ziemi sama chwała niewyczerpana, przykład niedościgły, bohaterstwo, a warunki tego bohaterstwa skromne i ciężkie znikną.

Chciałbym powstrzymać złote skrzydła legendy, niech się nie rozwijają,.. Chciałbym powstrzymać słowo uniesienia—niech nie ponosi... Chciałbym, by los i śmierć Kaszubskiego oparły się przesadzie i by widzieć je można było w tej codziennej prostocie, w tej dramatycznej rzeźkości, z jaką ją podał Polskiemu Narodowi skromny jego oficer.

Do rzędu bohaterów i męczenników przybył jeszcze jeden, podchodzi ku polskiej Golgocie, która jest też wraz i Olimpem. Za lat kilkadziesiąt będzie Kaszubski ogromnym przykładem i będzie się zwykłym ludziom zdawało, że przykład ten może ich nie obowiązywać... Bo inna rzecz ci wielcy Olimpijczycy—a inna my, mali, codzienni ludzie.

Otóż niech skrzydła legendy nie stają niby złote wrota rozdziału między Kaszubskim a codziennym polskim człowiekiem. Chcę opowiedzieć, ile

właśnie w tym męczenniku codzienności było i ile było zwykłej w nim rzeczy, pospolitej... Jak przeto obowiązuje on...

Człowieczek o długim kadłubie, krzywych, krótkich nogach, ciągłym okrakiem chodzących. Człowieczek o zwykłej a pospolitej a brzydkiej nawet twarzy i wyłupiastych oczach i nieudałym, wystrzępionym wąsie. Wprawdzie uczestnik rewolucyi, ale też uczestnik wszystkich wieców, obchodów, dzikim tenorem, śpiewający w chórach przy piwie. Nie znać na nim było wyższej kultury duchowej ani jakichś upodobań subtelniejszych. Rzekłbyś—mierność stowarzyszeniowo-akademicka.

I to jest ogromne i dech od tego zapiera z radości i to jest słoneczne, że oficer ten o postaci prawie kulfona, że ta mierność codzienna przeżyła tak ciężką chwilę,—akt z niej czyniąc uroczysty... Tak wielki, że słowa najprostszego opisania tego aktu brzmią, niczem niezmienna ewangelia wszystkich najwznioślejszych polskich postępowań.

Będziemy tym zdaniom opisu krok za krokiem towarzyszyć.

„Donieść muszę—pisze komisarz miejscowy—że oficer I. Brygady Legionów Kaszubski, który dostał się do niewoli pod Łowczówkiem...“

Po czterech dobach walki wracać musiał, jako jeden z ostatnich przez owe wzgórza i las, pełne dymu, trzasku i śmierci,—w dzień Bożego Narodzenia.

Widziano go, jak podobno rażony kulą w brzuch zwinął się w kłębek i stoczył ze wzgórza.

Ale nie wiedział ani on, ani Rosyanie, że się im Codzienność polska niedużym kamieniem pod nogi potoczyła... Że na kamieniu tym nigdy nogi nie postawią i że się w złoto żadnych klubów oprawić nie da...

Że się nie da oprawić tak,—nie — wielki duch, Łukasiński, nie — mąż złotousty, Mickiewicz, nie — święty pająk skrytości polskiej Traugutt, lecz, że się szara, polska Codzienność zniewolić nie da.

Te wypukłe oczy Kaszubskiego i te biedne wytarte wąsy... Tenor jego głosu zamilkł, gdy na mundurze strzeleckim spoczęły ciężkie ręce sołdatów...

Moi naiwni sołdaci!...

„Donieść muszę, że oficer I. Brygady Legionów Kaszubski, który dostał się do niewoli pod Łowczówkiem, przetrzymywany był w tutejszych aresztach sądowych...*)

Nie mogła mu była towarzyszyć w nich wyniosła historyozofia myśli polskiej, — bo jej zapewne nie znał, — a towarzyszyła mu zapewne patryotyczna śpiewka, najprostsza, aż do uprzykrzenia znana, i wzory wielkich czynów, widziane z zewnątrz, jak sztywne wzorki rysunku czy kaligrafii... Wreszcie myśl, że może się da uciec i myśl, że może badać, dochodzić ci głupcy niczego nie będą i —... Co się stało z jego plecakiem, który został na kwaterze plutonu.., I pewno troska o papierosy...

„Przetrzymywany był w tutejszych aresztach sądowych, poczem, gdy z papierów okazało się, że jest

---

*) t. zn. w Pilznie galicyjskim.

poddanym rosyjskim, czemu on nie zaprzeczył, skazano go na powieszenie".

Więc znalazł się ten zwykły człowiek twarzą w twarz przed tem samem zagadnieniem, które ongiś stanęło wobec przemądrych i najzacniejszych oczu Sokratesa.. Spotkał go tej samej doniosłości mrok wieczora, tej samej długości dzień leniwy; to samo obudzenie najcięższe—podczas których ongiś Sokrates uczył nieśmiertelności duszy w ludzkiej sprawie.

Tylko, że Kaszubskiego najbardziej świadome myśli mniej przecie miały w sobie świadomości, niż nagły i nieuświadomiony „Dajmonjon" Sokratesa. Tylko, że koło Kaszubskiego trwały, były, kwitły sprawy życia i nie potrafił zapewne, jak Sokrates cienia ich nadziemskiego zobaczyć... Że więc prawie bezbronny był wobec dylematu śmierci, a śmierć na niego szła i zatrzymać ją można było tylko kłamstwem: że nie jest rosyjskim poddanym...

Albo tylko ustępstwem, zdradą sztandaru...

Sztandar ten codziennem rozumiany sercem, cóż miał za radość i ponętę?... Że go oddać nie można... Niech minie wszystko i śmierć niech przychodzi. — Sztandaru oddać nie wolno... By za lat kilka, lub jutro, kilku takich samych Kaszubskich nie powiedziało: ów wzięty do niewoli pod Łowczówkiem Kaszubski, myślał, że sztandar oddać wolno.

Tylko tyle i właśnie cały ogrom w tej drobnej małości; tyleż samo w niej, co w oczach Sokratesa kielich pijącego ostatni...

„Donieść muszę, że oficer I. Brygady Legionu Kaszubski, który dostał się do niewoli pod Łowczówkiem, przetrzymywany był w tutejszych aresztach są-

dowych, poczem, gdy z papierów okazało się, że jest poddanym rosyjskim, czemu on nie zaprzeczył, skazano go na powieszenie".

Rzecz ta odbywa się w tych czasach niesłychanie po prostu. Wychodzi się z więzienia i otacza człowieka powietrze, które za godzinę istnieć przestanie na zawsze... I świat przestanie istnieć i domy i szklane ich okna, różne duże rzeczy i małe, — i wszystko...

Jak sobie ma z tem poradzić myśl Kaszubskiego, a znieść to musi, widzi to, czuje — i znosi ów ogrom w miarę siłom Sokratesa, Platona, Spinozy, Kanta — lecz...

„Gdy z papierów okazało się, że jest poddanym rosyjskim, czemu on nie zaprzeczył, skazano go na powieszenie. Wyrok wykonano wczesnym rankiem na targowicy.."

Jakiemuś księdzu powiedział zapewne, czem grzeszył i rozstał się z codziennością życia swego. A wkoło targowicy wczesnym rankiem podnosiła się Codzienność życia dostępnie z szarych mgieł, blizka, swoja, własna, wobec której pod szubienicą stał Kaszubski już tylko z tem, że sztandaru oddać nie można...

Mały, na krzywych nogach z wytartym wąsikiem, nie uważający się przecie za żadne wcielenie bohatera, a z myślą i wołaniem, że „Jeszcze Polska nie zginęła!"

Rzecz prosta — że nie zginęła!....

„Donieść muszę, że oficer I. Brygady Legionów Kaszubski, który dostał się do niewoli pod Łowczówkiem, przetrzymywany był w tutejszych aresztach są-

dowych, poczem, gdy z papierów okazało się, że jest poddanym rosyjskim, czemu on nie zaprzeczył, skazano go na powieszenie. Wyrok wykonano na targowicy wczesnym rankiem, ciało pogrzebano niedaleko cmentarza. Jednak grób zrównano i końmi zatratowano, aby nie pozostał ślad".

Grób można końmi tratować, pług przeorze na wzdłuż i wszerz — ale czegóż dokona?... Jest w tej śmierci piękno i moc inna, niż Sokratesa i niż Wieszcza Narodu i niż Wodza i niż wybranego ducha.

Jest w tem potęga Codzienności nieustępliwej, częstej jak ziarnko piasku, jak ono nieprzeliczonej i nieprzebranej...

Takim należy pamiętać Kaszubskiego, który dziś, jak był malutki — między największymi chadza i szary mundur strzelecki szczerosrebrnym epoletom księcia Józefa i starszym, złotym buławom hetmanów przedstawia.,.

TRZEJ SIERŻANCI.

Minęły już te pierwsze świeże dnie, gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były bezcenną i bolesną. Dziś Polacy, jak wolny naród w czasie wojny otwarli szczodrze tamę krwi i szeroko mogą wiązać wstęgi swej nowej sławy.

Gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były...

Cenę za śmierć i cierpienie rozda polom i lasom i ludziom i rodzinom wdzięczna Ojczyzna. Nazwiska rannych i zabitych, jak poczet górny wioną nad szeregami żywych. Nie rzadkością są bolesną, lecz świętym chlebem codziennym. Minęły już te pierwsze młode dnie, gdy każdy manewr nasz na polu walki i odgłos drobnej utarczki zgromadzał u naszej poczty, czy naszej komendy etapowej, żałosne zgromadzenie niespokojnych... Boje nadeszły lute, śmierć wśród szeregów gości, rana szeregi rwie — zaś zgromadzenie niespokojnych znikło bezpowrotnie. Nauczyliśmy się tracić i cierpieć, by zyskać. Stało się, że ojciec, matka, krewny, czy znajomy, nie, jak dawniej, na pół z gniewem, lub z buntem, pyta, gdzie jest mój brat, mój syn, nie wiedząc, w jakiej kompanii, ni w którym służy batalionie, lecz tylko — „tu gdzieś w tem waszem wojsku...“ Stało się, że ojciec, matka poniechali już tej troskliwości, która takim

gniewem napawała żołnierzy. Zjawiają się dziś wszelacy krewni, spokojnie i rozumnie, jak po orzeczenie słusznego losu, zjawiają się w promieniach Piękna duszy, która się zżyła ze srogą łaską wojny.

A jak już dobrze wniknęli w organizacyę tego wojska, które dawniej było dla nich tylko ogólnikowem jakiemś zbiorowiskiem. Pluton, kompania, batalion, pułk — na pamięć to umieją i nie pomylą się...

Minęły już te pierwsze dnie tkliwości, a to, co dawniej za ofiarę uważano, pojęto wreszcie, jako obowiązek.

Możemy już dziś dla zbudowania żywych mówić o śmierci po prostu. Żołnierska dola nauczyła nas rozumieć ją mężnie, skromnie, w granicach Celu i Sprawy. Melduję posłusznie — rzeknie szybko gdzieś w polu ordynans—że komendant naszej kompanii zginął....

Tak się dziś wypowiada — ustąpienie z szeregu....

Nauczyliśmy się umierać przykładnie, że aż wiedza i szczęście w tem kwitnie ogromne.

Taką właśnie prostą śmiercią, poufnie skłonom ziemi oddaną, zginęli w boju 22 grudnia 1914 roku trzej żołnierze I-ej kadrowej kompanii, sierżanci I-go Legionu, Kazimierz Kamiński (Luboń), Kazimierz Strzelecki (Kazik) i Henryk Dobrowolski (Sęk).

Wyszli razem 6 sierpnia z Krakowa, w tej pierwszej kadrowej kompanii, która niosła do Królestwa bicie wszystkich gorących serc Polski i gniew najszlachetniejszej zemsty. Radość ta należała się Kamińskiemu. Zapracował na nią jeszcze jako student

Instytutu elektrotechnicznego, organizując Związki Strzeleckie w Rosyi i Petersburgu. On, który tak dobrze umiał oblecieć wszystkie kąty studenckiej polityki, tak dobrze wszystkie koteryjki zamazać, a całość roboty trzymać w garści.... On, który dobrym szlakiem dziadów, pradziadów, Padlewskich, Schwarzów i wszystkich tamtych kuł zemstę w gnieździe wroga.... Na radość tę zasłużył Strzelecki, cichy pracownik, jeden z tych niestrudzonych dobrodziejów plutonu, którzy warzą jedzenie dla innych, gdy inni się po długim marszu walą z nóg, którzy znajdują kwatery, gdy inni się już ruszyć nie są w stanie. I zasłużył sobie trzeci z nich młodziutki Dobrowolski, członek Strzelca warszawskiego, by był między pierwszymi, którzy wejrzeniem żołnierza witać będą zabrany drogi kraj.

Wszyscy trzej zginęli w bitwie dnia 22 grudnia. Strzelecki skończył tak samo jak żył, skromnie i cicho, od rany w serce, — w randze sierżanta. Zginął Dobrowolski tak właśnie ślicznie dotrzymując przyjaźni, jak pięknie szedł do boju. I trzeci sierżant Luboń....

Do ataku biegł pierwszy. Rażony kulą klęknął, przytulił się do drzewa. Lecz nie wypoczywał zbyt długo. Spostrzegłszy, iż krwi zatamować nie zdoła, ściągnął dłonią kurtkę na skrwawionej piersi i skoczył naprzód.

Słyszeli wszyscy jego wołanie: Niech żyje Polska, Legioniści naprzód!!

Runął trafiony w czoło.

Po bitwie przyniesiono tę resztę ziemskiego pożytku, której wespół z sierżantem nie zakopano w pa-

miętliwej ziemi rodzinnej. Cała sława, wszystko żołnierskie sprawowanie, cała konduita sierżanta zawarta w dwóch małych notesach, wysuswalonych, wygniecionych...

Na tych wąziutkich stronicach zaczął pisać sierżant Luboń: „6/8 1914 czwartek. Alarm o drugiej rano. Zbiórka przed trzecią. Wymarsz z Krakowa pierwszej kadrowej kompanii wojsk polskich“.

Należał do pierwszej załogi w Słomnikach, tu, jak głosi wytarta stronica: „Pierwszy raz mówiłem do chłopów.... Po stu latach przychodzimy wojsko polskie za wolność i lud. Sam ledwom się nie rozpłakał“.

I później, o wiele później po różnych losach, po ciężkich tarapatach: „Wleczemy się do Lasków. Zapewne zaraz pójdziemy w bój.... Trzeba z pogardą śmierci śmiało, wesoło, z pogodną twarzą iść w bój... By moi najdrożsi wiedzieli, żem walczył i ginął mężnie za sprawę, o której tyle lat marzyłem, dla której rozdmuchania wytężyłem swój zapał młodzieńczy. Skończyła się gadanina“....

W dwóch małych notesach, przez godziny zbiórek. racye otrzymanych sucharów, gotowania kawy i te niewyczerpane „idziemy dalej“, i te rozmaite „budzą o piątej“, przez chwile postoju i walki, kroczy prosta chwała piechura, klasyczna dzielność sierżanta.... Aż oto schodzi z kartek dziennika, pochyla się nad drzewem, do którego się tulił ranny Luboń.... Kwitnie wielka, ogromna, tam, gdzie padł, rażony w czoło kulą śmierci, a wraz dotknięty pocałunkiem nieśmiertelności.

Razem wyszli, razem zginęli trzej sierżanci, społem leżą pod grządką świeżo usypanej ziemi, a szeregi, które już naprzód bez nich poszły i idą, niosą radosne wezwanie Lubona: „Niech żyje Polska, Legioniści naprzód!!...“

BOLESŁAW SZPUNAR.

Szpunar Bolesław pochodził z Wieliczki. Był synem górnika. Miał liczne rodzeństwo. Rósł,— tyle, że nie w ostatniej biedzie, bo przecie w żadnym dostatku.

Ludzie, tego wychowania i tego pokroju, co Szpunar byli w ostatnich dziesiątkach lat wielkiem zdrowiem i najmłodszą nadzieją Galicyi. Pojawianie się ich sprawiało bardzo dużo dobrego w obrocie tych zardzewiałych trybów i kół, które często tak dokuczliwie skrzypiały przy różnych wyborach, radach, komitetach i sejmach tej części Polski.

Gdyby już ze sporym zasobem tych ludzi rozpoczął był w Galicyi swą pracę Szymanowski, nie byłby się stał tragicznym cieniem rzeczy niemożliwych....

Ludzie tego pokroju, co Szpunar, byli pierwszymi dojrzałymi owocami powszechnego nauczania i konstytucyjnych ułatwień w nauce. Poza sferą wszelkich filantropii wyrośli oni z młodych praw, z których, myślano, ciemny ogół i tak nie potrafi skorzystać... Tymczasem ciemny ogół korzystał z nich, stwarzając cozaz więcej uświadomionych i zdolnych jednostek. Jednostki te nie mając za sobą żadnych „pleców“, wpływów, koligacyi, pokrewieństw, wyrosły „z niczego“ t. zn. z pracy, wnikały powoli w życie

prowincyi, stając się utrapieniem starego nałogu samowładztwa prowincyonalnego, rozpaczą malutkich kacyków, a radosną ostoją krzywdzonego tłumu...

Podziwiać należy zdolność asymilowania i pracy takich Szpunarów. Przejść cztery klasy normalne i nie mając żadnego odczynnika w domu nie stracić zaborczych zdolności. Puścić się, bez tak pomocnej atmosfery pewnego zbytku, na gęste i ciężkie fale gimnazyalnej wiedzy, czytać w oryginale Tacyta, Platona... Humanistą się stawać, a z nad kuchennego stołu oczy odrywać od książki i patrzeć na głębokie błoto gościńca, najbogatszej w Europie kopalni soli...

Szpunar przetrwał wspaniale tych 12 lat nauki i wstąpił na uniwersytet na prawo. Jako młody prawnik stał się wkrótce groźnym dla całego szeregu ludzi, którzy dotąd prowincyonalnej beztroski używali. Ten człowiek, wyrosły „z niczego“, pracował za dziesięciu, sprzęgając coraz ściślej dokoła siebie organizacyę robotniczą. Było w całej jego pracy i dzielności coś z tego zacnego tchu, jakim są owiane powieści Amicisa dla młodzieży.

Siedząc w robotniczem mieszkaniu państwa Szpunarów, jak się dało na stołkach, na kanapie, na kufrach, w półmroku małej lampy i słuchając ostrego głosu Bolcia, który opowiadał posłowi Klemensiewiczowi o perypetyach organizacyi, nie można się było oprzeć temu tchnieniu przyszłości i wiary, jaki mają nieraz znikome, a piękne chwile. Był w całej jego pracy zdrowy ton dorobku i budowy gruntownej, a przytem silny sentyment, zacniejszy, niż dostałe scukrzone sentymenty ludzi, którzy mają wszystko na swe zawołanie.

Czy ta prosta, nizka sala o sinych ścianach obwiedziona gałązkami sośniny, z zadymionym portretem Maryi Konopnickiej i z sztandarem biało-czerwonym, patrząca ciemnemi oknami na poszarpaną pracę ludzką górki, — twardych górników i smutnych kobiet pełna sala wielickiego Uniwersytetu Ludowego,—nie była piękniejszą od niejednej złotem prążkowanej auli?...

Kto widział tam Bolesława Szpunara, a kto go potem widział w dzień wyborów, jak późnym wieczorem biegł na czele radosnego tłumu z płonącem łuczywem w ręku... Kto widział Szpunara w podziemiach wielickich, ten mi wybaczy, iż użyję zbyt śmiałej przenośni: Było w tym człowieku coś z piękna soli... Jakby prostota tego kryształu, użyteczność jego bezcenna i lśnienie.

Gdy wybuchła wojna razem z pierwszymi oddziałami strzelców przekroczył Szpunar granicę.

Dla ludzi tego, co on pokroju było odrazu rzeczą jasną, że należy się bić, z bronią w ręku walczyć o Polskę.

Podkreślam tę stanowczość, z jaką Szpunar działacz społeczny i jego młodszy brat,—chwycili za broń. Poszli na wojnę tak poprostu i nagle, jak się na „żołnierza“ przystaje w „piosence“, akurat, jak to pojmuje myśl ludu, która żołnierkę uważa za pracę dla Ojczyzny.

Bracia Szpunarowie bili się mężnie i pilnie w twardej wysłudze wojennej pod Piłsudskim.

Przez ten czas Bolesław rozrósł się, i na srogiego patrzył oficera, z gęstą brodą, twarzą młodą, świeżą i niebieskiemi oczyma, jak bławatki...

Został śmiertelnie ranny w bitwie pod Łowczówkiem, podczas cofania się batalionów, gdy szedł ostatni...

Brat przy nim został...

Trzeba odczuć i przecierpieć bodaj w myśli to, co przecierpieli tam dwaj bracia. Jak dręczyć musiała rannego myśl, że brata gubi, jak zdrowy cierpieć musiał, że nie podźwignie rannego...

Polska linia znikała w lesie, między pniami ukazywały się coraz gęściej szare papachy.

Wśród strzałów, wrzasków hurra, zgiełku bitwy, mrozu i mgły 25 grudnia 1914 roku, stracili obaj bracia na zawsze z oczu szereg bratni, jego śpiew, życie i nadzieję...

Bolesław Szpunar zginął z odniesionej rany, brat jego Mieczysław umarł w szpitalu rosyjskim w Tarnowie na tyfus.

Należy się Szpunarowi miejsce w nizkiej, małej sali Uniwersytetu Ludowego w Wieliczce, należy mu się miejsce w domu robotniczym,—niech tam na obrazku biegnie z płonącem łuczywem w ręku i tłum radosny prowadzi. Należy mu się stronica w bezliku stronic polskiej sławy żołnierskiej.

A ktobykolwiek ponad siły walczył w małym, zapadłym kącie o rzeczy dobre i słuszne, niech czerpie otuchę i niech miarę bierze z charakteru Szpunara... Krótkie Jego życie wskazuje, jak pracę z walką godzić można szlachetnie.

ŚMIERĆ PORUCZNIKA FRANCISZKA GRUDZIŃSKIEGO.

Franciszek Grudziński (Pększyc) urodził się w r. 1890, do szkół uczęszczał w Krakowie, studya uniwersyteckie odbywał w Krakowie i Lwowie (Politechnika). W r. 1905 należał już do skautu, gdzie pracował razem z Małkowskim. Brał bardzo żywy udział w formowaniu się i rozwoju Drużyn Strzeleckich we Lwowie. Podczas wielkiej manifestacyi przeciw rosyjskiemu konsulatowi uratował z tumultu ulicznego sztandar, zerwawszy go z drzewca.

Pracował później w Krakowie. W roku 1913 prowadził dwumiesięczny kurs zimowy w Rabce. Była w tej pracy ogromnie silna rzeczywistość, było też jednak i wielkie marzenie: Rycerzy śpiących w Tatrach pobudzić.. Pracę wojskową rozumiał Grudziński, jako wyzwolenie z wszystkiego, co w Polsce jest niewolą...

W r. 1913 został komendantem kompanii i zbrojmistrzem Drużyn Strzeleckich w Krakowie. W czasie wyruszenia pierwszych oddziałów polskich do Królestwa, walczył w armii austryackiej przeciw Czarnogórze. Połączywszy się z szeregami I brygady, odbył cały szereg bitew. Był ranny pod Laskami.

— Wiedziałem, że będę ranny i że nie zginę—



Poruczn. Franciszek Grudziński (Pększyc).

mówił później. — Jak długo będę Sprawie potrzebny, nie mogę zginąć...

W bitwie pod Łowczówkiem znakomicie prowadził IV batalion. Świetnie sprawował plac-komendę w Kętach. Żołnierze cenili i kochali młodego porucznika.

Później dowodził czwartą kompanią VI batalionu. Ranny w ostatniej bitwie i odwieziony do szpitala polowego, uciekł stamtąd, by jaknajprędzej wrócić do oddziału. Powrót do szeregów Brygady I przyjęła jego kompania w nocy, leżąca w okopach, tak potężnem hurra, że rakiety poczęto świecić wzdłuż całego frontu, a zaniepokojeni Rosyanie wysłali patrol, który dostał się do niewoli.

Dnia 3 czerwca koło godziny 11 w południe z okopów przed wsią Żerniki wyruszył Grudziński z dwoma żołnierzami na wywiad. Dzieliła go od Rosyan falista przestrzeń niewielkich wzgórz, okrytych żytem. Za temi wzgórzami i za zbożem ciągnie się wieś. A za rzędem chałup, za poczciwym grzbietem kosmatych poszyć ze słomy, strzelają z bujnej zieleni drzew szczyty wież kościelnych.

Linie okopów kręcą się po obu stronach wsi, która jest tak jakoś przysłowiowo polska, piękna, w ciszy i cieniu między dwoma śmiertelnemi liniami śniąca... Bezradna w uroku wiosny, między dwoma żmijami na pożar skazana... Marszczą się nad nią w upale sino-niebieskie wstęgi powietrza, a fioletowe kontury wież kościelnych obrzeża złota lama jasności. Czar w tem jest i całe wieki przeszłości i pogoda jakaś i woń dojrzewania i rozpacz słodka...

Tędy, wśród zboża kwitnącego, — bo właśnie kwitło żyto,—szedł Grudziński z dwoma żołnierzami jakby wyzywając śmierci.... Niedaleko od pozycyi rosyjskich przed Modliborzycami, związawszy się z niemi strzelaniną przed frontem tej wsi prostym i kochanym, jak stara pieśń ludowa, — padł porucznik Grudziński na wonną falę kwitnącego życia, rażony kulą w głowę. Już w czarne słońce śmierci patrząc, we krwi i salwach wystrzałów, już ślepy, — wychylił Grudziński swe zdrowie do dna, strzelając sobie w serce....

By przyjść Grudzińskiemu z pomocą, komendant Fleszar rozpoczął bitwę. Wziął pod ogień ciężkich dział wieś, szturm ogniowy zarządzając na obu flankach. Dopiero pod osłoną tej burzy ognistej, szalejącej pod czystym blaskiem słońca w samo południe, udało się sanitaryuszom zabrać zwłoki porucznika.

Drugiego dnia odbył się pogrzeb tuż za pozycyą naszą w Baćkowicach. Trumnę wystawiono we wiejskim kościele. Okryto ją sztandarem narodowym, a przez skrzydła Orła białego biegła czarna wstążka żałoby. Zapalono świece. Jakby gromada złotych motyli obsiadła trumnę. Oficerowie, — żołnierze, — uroczyste śpiewy.... Ramię w ramię—braterski splot kolegów, którzy trumnę ponieśli na cmentarz.... Ksiądz kapelan Żytkiewicz przemówił, zadrżała we łzach warta honorowa, na ostatnią baczność, twarze kryjąca w dłoniach ...

Gdyśmy wyszli z cmentarza ku wzgórzu i pozycyom, w głębinach wieczora, pod spokojnym ogromem fioletowego nieba płonęły stogi zboża, trafione jakimś wystrzałem.

Zdało się więc, z żałoby wielkiej niszczeje i pali się zbiór ziemi.... Zboże czerwonym kielichem płomieni ku niebu się wychyla.... Zaś w kruży onej, tak zwiewnej i gorącej, oddaje ziemia duszę bohatera czułym i nieskończonym łaskom nocy....

KAP. KAZIMIERZ PIĄTEK (HERWIN).

Idzie się tu przez wieś, za sobą ostawiwszy rozfalowane, młode pola, schodzi się wiejską drożyną aż do parowu i zboczem w górę ku ścianie wielkich szumiących dębów. Po jednej stronie tej żywej, głośnej ściany spada brzeg, porośnięty wszelakim kwiatem zbłądzonym. Po drugiej płyną łany młode ku innej wsi, ku rozrzuconym wśród pól drzewom i jeszcze dalej ku temu smętnemu czarowi, co tai się za niedojrzanym brzegiem horyzontu.

Na tle tej ściany dębów, w szumie, w tchnieniu drzew tęgich i czcigodnych, jakby w oddechu bezmiernego spokoju i powagi wznosi się biały krzyż z zawieszonym przez ramiona wieńcem uwiędłego bzu.

Tyle bezbronnego żalu jest w tych ginących cicho bzu gałęziach i tyle czułości, — bo okwitnąć trzeba, minąć, przeminąć, a nikt przecie, jako żywy kwiat za grób nie dojdzie...

Pod krzyżem mogiła z darniny, około niej brzozowe balaski, opodal takaż ławeczka z biało-srebrnych pni, iżby tu można było przyjść, siąść i głowę na ręku oparłszy i oczy utkwiwszy w niebieskiej błękitu pamięci—myśleć, dumać...

Śnić się tu może jakaś urna przeczysta, z któ-

rej płyną zdroje zasługi świetnej i płyną i toczą się w nieskończoność...

Tak więc w tem ogrodzeniu białem, jak w białej kołysce, leży mogiła, na niej kilka naboi i jeszcze kwiaty powiędłe. W dół na zbocze pada błam świeżo wzruszonej gliny. Naprzeciw krzyża i potężnej ściany dębów występuje biało-pienna brzózka, jedna, jedyna wśród tych drzew, lekko wiotkimi warkoczami ciężkie liście dębów głaszcząca.

„Tu leży Kazimierz Herwin (Piątek), kapitan Legionów Polskich, Brygady Piłsudskiego. Zginął pod Kozinkiem dnia 19 maja 1915"—odczytać można na małej drewnianej tabliczce, przybitej u stóp krzyża.

Kazimierz Piątek-Herwin, syn malarza, urodził się w r. 1888 w Krakowie, tam ukończył gimnazyum i studyował filozofię. W roku 1911 wstąpił do Związku Strzeleckiego, w którym pracował bardzo gorliwie. W 1913 został komendantem szkoły oficerskiej, z końcem tego roku komendantem Okręgu Podgórskiego.

Po wypowiedzeniu wojny Rosyi, wyszedł z pierwszym oddziałem, jako komendant plutonu. W Miechowie dostał kompanię, a we wrześniu batalion VI. Pod Krzywopłotami batalion VI objął kapitan Fleszar. W grudniu otrzymał Herwin batalion I-szy pierwszego pułku. Z batalionem tym walczył pod Łowczówkiem, gdzie był ranny 23/XII.

31 stycznia 1915 r., jeszcze nie wyleczony, powrócił do Brygady, w kilkanaście dni później otrzymał komendę nad batalionem V, (dziś pierwszym trzeciego pułku).

Spokojny ten człowiek, nieustraszony komendant, zginął podcząs szturmu swego batalionu w lesie pod Kozinkiem, wśród burzy i piekielnego huku kanonady, w potężnym zgiełku nieba i ziemi, rażony kulą w głowę.

Nieprzytomnego znieśli żołnierze do wąwozu. Potem w męczarni i w nieprzytomności pogrążone ciało powieźli do wsi, wolno w mroku, drogą zawaloną przez strudzone okrutnym bojem oddziały...

Na czarnem, bezgwiezdnem niebie ważył się wciąż świat armatnich wystrzałów.

Mieliśmy wszyscy nadzieję, że Herwin wyjdzie z tego ciosu, że natura jego tak tęga, zdrowa, sposób życia tak ogromnie prosty i wstrzemięźliwy zwyciężą. Tymczasem ciężko ranny zmagał się ze śmiercią. aż go przemogła. Dnia 20 V zgasł.

Odbył się pogrzeb, najlepszy, na jaki nas wówczas było stać.

Otwartą trumnę złożono na łące... Lud wiejski osypał ją kwiatami.

Tu, ostatni raz,—dziwnie w zacisku śmierci dumna i wzniosła twarz Herwina patrzyła w niebo...

Dzień był biały, powietrze huczało wciąż od wystrzałów.

Wartę honorową trzymali przy trumnie ułani.

Tu ostatni raz widziała twarz Herwina blask legionowej broni i jej dźwięk przezacny, tu brzmiał wokoło niego po raz ostatni...

Oficerowie wieko przybili, przepłynęła nad trumną pieśń—„Nie damy ziemi skąd nasz ród".—„Jeszcze

Polska nie zginęła"—odegrali po trzykroć muzykanci. W pogłosie bojów z przed stu lat, w żalu i w harcie żołnierskich spojrzeń resztki tego, co duchem było i mocną dźwignią najdzielniejszych—zeszły w ziemię...

Na tle rozłożystej ściany dębów, w oddechu ich szumiącym, rzekłbyś tchnieniem łaskawej piersi kołysany usypia Herwin na wieki,—zaś przed Nim pola biegną i złocą się chałupy i ciągnie się w dal to wszystko,—polska ziemia i ród—to wszystko, czego bronił tak mężnie... Zaś nad Nim bzu uwiędłego różańce, wśród dębów brzoza warkoczami wiejąca i wysoko, wysoko czułe pytania ślicznego głosu wilgi...

JAKÓB DAROCHA.
MIECZYSŁAW KWIECIŃSKI.
JULIUSZ BAGNIEWSKI.

Jakób Darocha podporucznik I. Brygady zginął 23 maja 1915 r. w Żernikach, podczas szturmu VI. batalionu gdy szedł naprzód przed kompanią dla zbadania pozycyi. Tak ginie większość naszych oficerów. Jest to już poniekąd wspaniałą banalnością... dla zbadania pozycyi. Dla wynalezienia miejsca, w któremby jak najmniej strat poniósł szereg...

Więc działo się to w maju, wśród najpiękniejszej pogody i rozkwitu nieba i ziemi. Z miesiąca marzeń przeistoczył się nam maj w miesiąc walki. Musi się stać—ocośmy walczyli i ginęli, jeśli zapomnieć mamy krew na zbożu i mogiłę w pośród łąki...

Darocha urodził się w Sokołowie koło Rzeszowa, lat 26 skończyłby tego roku w lipcu. Śmierć go jednak spotkała i zaczął inne lata, nieskończone nigdy w pamięci Narodu.

Do gimnazyum uczęszczał w Rzeszowie, na Uniwersytet (prawo) we Lwowie. Od początku wojny służył w VI. batalionie I. Brygady. Założył był Związek strzelecki w Sokołowie, tamże Koło i Czytelnię T. S. L. Bił się pod Laskami, Krzywopłotami, Łow-



Poruczn. Mieczysław Kwieciński (Oset).

czówkiem. Prowadził dalej pracę oświatową podczas wojny w szeregu... Urządził tu rodzaj lotnej szkoły dla analfabetów, a najpilniejszym wyznaczał nagrody. Był komendantem swego plutonu i jego nauczycielem.

Tak, jakby czasem to, co cały naród zaniedbał, wcielało się w jedną młodą pierś, w jedno gorące serce, — póki tego serca stanie i póki pierś nie pęknie.

Mieczysław Kwieciński (Oset) urodził się w 1893 w Kieleckiem. Tutaj skończył handlową szkołę. W r. 1911 wstąpił w Leodyum do Związku Walki Czynnej. Należał — jako filareta — do tego grona młodzieży w Belgii, które odnowiło na emigracyi dawne polskie tradycye. Jako porucznik dowodzący 4-ą kompanią II. batalionu, II pułku brygady Piłsudskiego, zginął pod Przepiórowem 23 maja, w dzień Zielonych Świąt po południu.

Właśnie, gdy szukał dogodniejszej pozycyi dla swej kompanii... kula przeszyła mu piersi, a wieczorem tego samego dnia zmarł w szpitalu polowym. Historya naszych bojów zapamięta dobrze kompanijnego — Oseta. Lecz jak się ma stać, by wdzięk tego młodzieńca, jego łagodność i tak miłe obejście, ginęły bezpowrotnie?...

Porucznik Oset, w czasie ataku II. pułku I Brygady na Małżyn, Beradź i Swojków, bardzo zręcznie prowadził swą kompanię. Udało mu się tak szczęśliwie przesuwać jej linie, że unikały stale morderczego ognia artyleryi. Widzieli go wówczas żołnierze,

jak stał pod drzewem i wymachiwał białym prętem, obłupanym z kory.

Jest we zwyczaju, że się mali chłopcy bawią w wojnę, w różne dziwne przygody, a kijów takich, świeżym sokiem ociekających, używają za miecz, berło, czy za znak dowództwa.

Niechże się stanie, by za lat dziesięć, trzydzieści, wiedzieli mali chłopcy, że porucznik Oset pręciną taką świetnie do ataku prowadził swą kompanię. Gdy na wiosnę łozę młodziutką z kory obedrą, niechże się stanie, by wiedzieli, że tak samo czyniły kiedyś ręce idącego w śmiertelny bój porucznika.

Niechże się stanie, by się im, jak przykład nawinął wcześnie, już w chłopięcych zabawach, marzeniach o tej dawnej porze: — gdy wiklina sokiem wiosny opływała, a młody porucznik broczył krwią...

Juliusz Bagniewski, podporucznik VI batalionu, I. Brygady...

Znaliśmy Go wszyscy tak dobrze...

Nie mogłem się dowiedzieć tych paru formalnych dat, gdzie się urodził, tych paru od — do... Na szczęście nie mieści się Bagniewski w datach i nicby one o nim nie powiedziały.

Bagniewski zginął w maju 1915 r. pod Wszachowem.

Był z rodu tych polskich tułaczów, żyjących „jak ptak na gałęzi“, pędzony buntu polskiego koleją z miejsca na miejsce. Chyba znał cały świat, —wszę-

dzie próbował szczęścia i chleba... Na wielu gospodarczych sprawach życia Narodu znał się tak dobrze i głęboko, że niepodobna sobie wyobrazić, by miał w nich już nie wziąć udziału. Wiele serc tak miał blizkich sobie i oddanych, że niepodobna tej wielkiej odległości zrozumieć, jaka go od nich przedzieliła.

Niema już między nami tego cierpliwego podróżnika...

Zaś ja wciąż widzę Bagniewskiego — jak spoczywa na przydrożnym kamieniu,—opodal maszeruje kolumna piechoty, szara od kurzu i pyłu.

W dali wszystkimi kwiatami wdzięczą się łąki....

Widzę Bagniewskiego, jak zmęczony, siedzi w rozchełtanym mundurze na kamieniu, zdjął czapkę, ociera zgrzaną twarz — ...Już za nami nie pójdzie, nie wydąży, jeno złotem skrzydłem kurzawy marszu naszego przykryty czeka, póki wieść do niego nie wróci, że naprzód idziemy, zwyciężając...

STEFAN KRAK-DUDZIENIEC.

Stefan Krak-Dudzieniec, podporucznik jazdy I brygady, padł 30 czerwca 1915 r., gdy szedł ku okopom rosyjskim do szturmu. Jakoby srebrne sznury od kasku na ramieniu wiązane ściągnęły na niego baczniejszą uwagę strzelców rosyjskich.

Padł rażony kulą, gdy w pełnym rynsztunku i blasku, rosły, ogromny i piękny szedł na nieprzyjaciela.

Srebrne sznury we krwi.

W tej prostej, butnej śmierci rozwiązało się życie nader mężnego żołnierza, w tej ułańskiej zapalczywej potrzebie zginął silny, twardy charakter, którego śmierć wspaniała jest ostatnią, a tyle świetną ozdobą.

Trzebaż było widzieć Dudzieńca! Wzrostu ogromnego, pysznie zbudowany, twarz smagła, piękna i rycerska. Rycerskość, mimo tak znakomite zewnętrzne pozory, nie była rzeczą dla Dudzieńca łatwą. Potężną jego postawę toczyła choroba. Już w czasie wojny z powodu krwotoków musiał był kilkakrotnie odpoczywać.

Lecz zawsze wracał...

Jako bojowiec jeszcze, aresztowany w 1906 r., badany, sądzony, zesłany na Sybir (do gubernii ir-

kuckiej), wyrwał się stamtąd i wrócił do Lwowa w 1913 r.

W chwili wybuchu wojny, przeprowadziwszy we Lwowie uchwałę o przelaniu funduszów Bratniej Pomocy na organizacye wojskowe, stawił się w komendzie Strzelca w Krakowie.

Szóstego sierpnia w przedniej straży pierwszej kadrowej kompanii wrócił do Królestwa, jako kawalerzysta bez konia, siodło niosąc na grzbiecie.

Historya podporucznika Dudzieńca w oddziale jest prosta, jak historya czynu, męstwa i pracy.

We wrześniu mianowany został kapralem w czwartym plutonie I szwadronu. W październiku wachmistrzem. Po rozprawie pod Uliną awansował na wachwistrza-szefa, zaś w listopadzie na podporucznika czwartego plutonu I szwadronu.

Pochowany jest w Bidzinach na cmentarzu.

Wracał dotąd zawsze, a oto srebrne sznury we krwi i już nie wróci do swej wsi Dudzienki i ku nowym uchwałom młodzieży... I do Królestwa z siodłem na plecach nie wróci, by się konia dorabiać.... Jest niepodobieństwem pomyśleć, że ta postać tęga i świetna leżała bezwładnie na marach i że na tarłowskiem polu razem z krwią spłynęło w ziemię tak wielkiego charakteru i męstwa pełne życie.

Jeno, że Dudzieniec jest z tych, którzy wracają w Polsce wiecznie.

W rozwalonych izbach siedzą przesmutne staruszki, a wedle nich płaczą maleńkie, opuszczone dzieci... Ze zgliszcz się kurzy i tchnie czarną spalenizną... Na pustym strychu chyli się zapomniany kołowrotek, a na nim rozszarpane, jak polski los, wrze-

ciono wicher targa. To nic, że śpieszy stąd precz wielki ułan i odchodzi daleko w sznurach swych srebrnych i że przędzę życia zniszczył strzał.

Póki ten lud w niewoli, póki chłop bieży, a nie wie gdzie, póki chata budą, którą kopie wróg, póki na kołowrocie wrzeciono rozszarpane — Dudzieńce będą wracać w srogim blasku i stroju ze strzałem na strzał...

ROMAN MAKSYMOWICZ (NAWROT).

Bijemy się teraz nietylko o pozycyę, nietylko, by wroga złamać i zniszczyć. Bijemy się teraz nietylko o idee i całość sprawy. Lecz się bijemy o każdy szczegół, wieś, dom, chałupę, o każdy stóg i snop.

Najmniejsza chwila jest w tej walce droga, cenna. Bo jeśli przyjdziem o kilka minut wcześniej, to ocaleje dwór i wszystkie pamiątki szanowne, to ocaleje styl i wdzięki jego piękne. Bo jeśli przyjdziem o kilka minut wcześniej, to ocaleje wieś i chaty się ostoją i chłop nie pójdzie z pustemi rękoma w pustkę. Zaś jeśli przyjdziem o kilka chwil później, z dworu i ze wsi czarne rany na ziemi zostaną i gnaty ruin i nic więcej.

Moskale, cofając się, palą wszystko do cna. Oficerów polskich, prowadzących tu walkę, ogarnia pospiech nieustanny. Atak staje się szybszym, patrol prędszym, — by nie dać, by bronić, by ocalić. Bitwa jest tu nietylko bitwą, lecz misyą.

Otóż w misyi takiej zginął bohatersko młody podporucznik piechoty I. brygady Legionów Roman Maksymowicz (Nawrot). Należał do rzędu tych mło-

dziutkich oficerów brygady, którzy dosłużyli się, a raczej dobili się stopnia oficerskiego na wojnie. Członek Drużyn strzeleckich, instruktor ich w okresie przedwojennym w Nowym Sączu, wyruszył jako szeregowiec z III. batalionem I. brygady. Walczył w jej szeregach rok cały, idąc powoli wąziutką drabiną dostojeństw od szeregowca w górę na kaprala, — sierżanta. Po bitwie pod Konarami mianowany został podporucznikiem w 3-ciej kompanii I. batalionu II. pułku I. brygady. — Jakież to były gratulacye i fety! Cóż bowiem piękniejszego od rzetelnej zasługi, uwieńczonej zasłużonym zaszczytem.

Wiem, że wówczas zawiózł go starszy brat do sąsiedniego Klimontowa szykować wyprawę oficerską, —bo młody oficer musi mieć wyprawę,—jak panna. Trzeciego sierpnia świętym pośpiechem ratunku ziemi objęty, będąc na skrzydle kompanii, która atakowała wieś, właśnie podpaloną przez Rosyan, wyparł Rosyan ze wschodniej jej części, ocalił ją, sam zaś padł na murawie sadu, rażony prosto w serce....

Pochowano Romana Maksymowicza w Jastkowie pod starym wiejskim krzyżem, przy którym szumi topola. Zgromadzili się koledzy, stanął służbowy pluton, a u stóp starego krzyża wyrósł nowy, świeży. Zaśpiewaliśmy „Z dymem pożarów“, „Hej Strzelcy wraz“, i „Nie damy ziemi, skąd nasz ród“.

Mrok był już zapadł głęboki, gromada żołnierzy rozpłynęła się w jego cieniach. Zdawać się mogło, że to nie chór żołnierzy, a ziemia ciemna i szara śpiewa wokół mogiły, że tym śpiewem ziemia od-

dycha, że to mroki snują ten głośny żal za młodym oficerem, obrońcą chat, w serce trafionym na murawie wiejskiego sadu.... Bo się bijemy o każdy szczegół, dom, wieś, stóg.... Bo jeśli przyjdziem o kilka chwil za późno, z dworu gnaty zostaną, ze wsi czarne rany i pójdzie chłop z pustemi rękoma w pustkę.

JAN WOJTKIEWICZ (WYSOKI).

Wysoki nie należał przed wojną do żadnej organizacyi politycznej, nie brał udziału w życiu partyjnem, nie ważył tych ciężkich i odpowiedzialnych spraw, które nurtowały młodzież polską w kraju i na emigracyi.

Poprostu nie znał się na tem. Za to znał się na koniach, siodłach, był bardzo dobrym, uczynnym chłopcem, w miarę się bawił, w miarę uczył. Naturalnie należał do tych, którzy bojkotowali szkołę rosyjską, a ukończyli polską, ale to raczej z poczucia tradycyi, z wewnętrznej głębokiej przyzwoitości, niż z świadomego przekonania.

A potem,—jak mi to sam swego czasu opowiadał—Warszawa, muzyka, knajpa—Renesans, aleje, wiosna, zielony karnawał! — I śmiał się tym jedynym, pysznym śmiechem, w którym miło odsłaniał białe zdrowe zęby i czerwone podniebienie.

Myślisz, że ja wiedziałem, kto to jest Piłsudski? Pierwszy raz pokazali mi go w Krakowie. Tak-em się zdziwił!...

Leżeliśmy na skłonie pagórka, popołudniu, pod Konarami, już dawno po bitwie. Z nudów ssaliśmy źdźbła trawy. Pogoda sprzyjała rozmowie. Przed

nami złociły się pola, blask słońca drżał w czystem powietrzu, a wiejskie sady okrywał granatowy chłodny cień.

Więc nie znałeś nas wszystkich?

Nie.

No i co?

No i jestem od początku.

Było to u Wysokiego aktem zwykłego instynktu, aktem najprostszym. Na tę chwilę czekały w nim wszystkie atawizmy rycerskich pokoleń. Patryotyzm jego wyzwolił się odrazu bez żadnego trudu, bez niczyjego zachodu i propagandy, tak szczerze, jak wiosna nastaje po zimie.

Wysoki odrazu wstapił do szeregu i odrazu stał się doskonałym żołnierzem. Aby zrozumieć, jak się to stało, trzeba rozumieć rzeczy głębokie i szlachetne, jakie tkwią w psychice każdego wojowniczego narodu. Nie może tu być mowy o ofierze, jest tylko wysiłek radosny, konieczny i wesoła pewność zwycięstwa.

Wysoki był cierpliwym, spokojnym i niezmiernie miłym żołnierzem. Jego śmiech miał w sobie coś ożywczego. Małe, figlarne szare oczy, zadarty nos, małe świeże usta, twarz smagła, dziecinna a stanowcza, ciemne kosmyki, jakby fryzowanych włosów, wymykające się z pod wspaniałego kasku... Jego zgrabne, młode ruchy, tak szykownie harmonizowały z koniem, z mundurem ułańskim, z szarmanteryą Beliniaków i furyą ich doskonałą.

Przebył całą kampanię od wymarszu z Krakowa ani na chwilę nie tracąc werwy, animuszu, nadziei

i pracą wojenną, wzorową awansujac stopniowo z szeregowca na podporucznika.

Ostatni raz widziałem Wysokiego w sierpniu pod Lublinem. Ścigaliśmy wówczas nieprzyjaciela, prąc naprzód całemi kolumnami.

Jakże się miał nie cieszyć Wysoki!

Nad nami niebo bez chmur, żywy atłas błękitny, bramowany u krańców gorejącym bronzem pożarów. Ku tym pożarom wszystkiemi drogami, ścieżynami, miedzami idziemy my, jak odwet w czyn zaklęty. A przed piechotą w wonnym szeleście zboża o niebieskiej ciszy zalęknionych wsi pogania kawalerya!

Kwatera główna wypadła w Dąbrowicach we dworze, przybudowanym do wieży zniszczałego zamczyska.

Z jakąż rozkoszą rozwaliliśmy się na wyścielanych meblach!

Ktoś wywlókł z kąta gramofon i nakręcał jedno za drugiem opery, marsze, romanse, tańce!

Ażeśmy zasypiali z przyjemności!

Wysokiemu podobał się osobliwie jakiś walc, kazał go sobie trzy razy powtarzać.

Był to walc zgrabny, ledziutki, jak pianka, jak pajęczyna. Różne błahe smutki przewijały się w melodii, różne drobne przekory i lekkomyślne sentymenty.

Wysoki wziął się za głowę i kołysząc się w takt, wzdychał: — Bracie, muzyka, dorożki na gumach, Warszawa, aleje!

W parę dni potem padł nad wieczorem w okoicach wsi Biadaczka, w linii tyralierskiego wywiadu

kawaleryi, straszliwie rażony szrapnelem, który zmiażdżył mu pół głowy i oberwał ramię.

Miał pogrzeb wspaniały. Przez cały Lublin wiedli trumnę, tonącą w kwiatach. Na ulicach tłumy ludzi, zdjęte żalem serdecznym. Za trumną narzeczona przez oficerów pod ręce wiedziona. Sztab I-go dywizyonu, dalej pluton drugi I-go szwadronu konno (Pluton Wysokiego). Wszystkie kawaleryi naszej piękne, staropolskie zaszczyty... Kasków ułańskich wyniosły kształt, dźwięk broni, nad grobem pobudki trębaczów.

Tak nas w żalu, w powodzi kwiatów, w uroczystej ceremonii, z ostatnią pobudką trębaczy odeszła na zawsze świeża rycerska dusza Wysokiego.

W historyi Pierwszego Dywizyonu Jazdy Polskiej zasługi Zmarłego nie przejdą bez echa. Lecz pyszna historya działań i czynów wojennych tego oddziału nie może się wdawać w osobistą uczuciowość żołnierza.

W uczuciowości Wysokiego chciałbym, by zapamiętano to, czego nie umiem wyrazić, co się nieda przedstawić, co jest niewyczerpane nigdy w swem pięknie, jak ogień,—woda,—miłość... By zapamiętano ten lekki, naturalny wdzięk, z jakim w jednej chwili z beztroskiego młodzieńca przedzierzgnął się Wysoki w znakomitego żołnierza.

Słowem, że jeszcze w Polakach tkwi waleczna miłość kraju, tak jak ziarno w owocach.

D-r ADOLF STERNSCHUSS. *)

Jest rzeczą jasną, że w walce za Ojczyznę ludzie giną. Jest tedy rzeczą w tym czasie srogim i twardym dla każdego dostępną, że zginąć może i najbliższy sercu i wielki zasługą i świetny męstwem, —na równi z kimkolwiek mniej znanym, czy mało znanym, czy bezimiennym. Na tem właśnie polega przepiękna równość szeregu i w tem najgroźniej kwitnie surowe bezmiłosierdzie nowożytnej walki.

Lecz śmierć dra Adolfa Sternschussa wywołuje prócz żalu głębokiego i wielkiego serca ucisku coś więcej, — coś innego, coś, co się raczej ważnej sprawy tyczy, a nie tylko śmierci bohaterskiej.

W czynie i w śmierci Sternschussa jest przykład wspaniały. W czynie jego przypowieść się kryje głęboka, a nie zawsze wysłuchana.

Bo śmierć tego dzielnego szeregowca prześwietnym krokiem idzie w polski świat i więcej ma w sobie życia, niż niejedno realne życie, a sztywność jej więcej ma rozmachu i giętkości, niż niejeden rozmach i giętkość tysiącem słów i gestów naprzykrzające się rzeczywistości.

Dr. Sternschuss bez najmniejszej dla siebie ujmy mógł był sprawić mniej, niż sprawił; mógł był spra-

*) Zginął w walkach na Wołyniu przy szturmie na wieś Kukle.

wić dwa razy mniej, niż sprawił i jeszczeby szacunek go otaczał niezmienny. W mniemaniu sfery, do której należał, mógł był wogóle nic osobliwego nie czynić, automatycznie spełniać swe formalne obowiązki —a takżeby był człowiekiem, który jest z samym sobą w porządku i godnie trwa na swem stanowisku.

Cóż bowiem czynić ma Polak na wysokim stanowisku, gdy wojna wybucha światowa, zaś w pośród morza wielkich płomieni świeże płomię nowej Bellony polskiej zabłyska?..

Polak na wysokim stanowisku nie zaangażuje stanowiska w grę niebezpieczną i niepewną. Niepewność i niebezpieczeństwo zostawi wiekowi, któremu one przystały, wesprze datkiem, ofiarą, pokrzepi godnem słowem.

Wy tam Polskę zdobywajcie, my Ją wam tu urządzić się postaramy...

Niema w tem nic złego zaiste, ale i piękna w tem niewiele.

Otóż dr. Sternschuss rozerwał kółeczko tego przesądu i stwierdził sobą, że ten sam mus, który dla wszystkich stwarzają państwa w chwilach przełomu, istnieje w takich chwilach w Polsce z dobrej woli. Stwierdził, że się Polak na służbie może nie zestarzeć i że dobrobyt może nie być powodem ociężałości i że majątek nie musi stanowić o braku ryzyka.

Gdy uwolniwszy się z dotychczasowych obowiązków nastał do czynnej służby Narodu, również nie chciał korzystać z praw, któreby mu mogły przysługiwać.

Ludziom się to często wydaje niesłuszne i niepraktyczne. A jednak takie zrzeczenie się praw powiększa największy skarb Ojczyzny: bezwzględne prawo rozporządzania ludźmi w myśl jej potrzeb.

I tu rozłamał szeregowiec Sternschuss drugie koło przesądu: jakoby jedni tylko gospodarzyć mieli krwią ofiarną, a drudzy tylko wylewać krew z swych serc... Dr. Sternschuss, mający wszystkie dane na polityka, organizatora—poszedł jako szeregowiec I Brygady w pole.

Posiadając doskonałe wykształcenie wojskowe, mógłby szybko awansować. Lecz prosił, by tego wykształcenia nie uwzględniano w posuwaniu go stopniami szarż.

I tu szeregowiec Sternschuss zwyciężył trzeci przesąd, jakoby można iść w górę wojskowych dostojeństw inaczej, niż na mocy zasługi wojennej wobec nieprzyjaciela..,

Zginął w walce, ostatnim schodząc z pola, z karabinem w ręku.

Więc niema już tego szeregowca, przewyższającego wzrostem kolegów, żołnierza o pysznej, złotej brodzie lowelasa, eleganckiego żartownisia, który znał wszystkie kawały!... Nasza rzadkość, nasz wyjątkowy szeregowiec w monoklu (ach, oddaj monokl!) o bystrych, niebieskich oczach, celny strzelec, odważny łowca rosyjskich patroli, zawsze wyborna wedeta i świetny żołnierz, kochający szturm więcej, niż swe bogate muzeum...

Wieść skwapliwa i godziwa chełpliwość—opinia obsypała jego pamięć pośmiertną wszystkimi tytułami,

dostojeństwami, których się był zrzekł dla munduru szeregowca. Nie dziwota, że szeregowiec, który wypisywał tablicę na grób swego kolegi doktora praw, radcy Prokuratoryi skarbu i porucznika, opatrzył ją we wszystkie tytuły. Wyraził tym sposobem rzadkość tego rodzaju kolożeństwa. Nie dziwota, że fama zliczyła głośno te tytuły. Wyraża ona tym sposobem wielki hołd dla człowieka wyznającego równość...

Dr. Sternschuss, śmiertelnie ugodzony, chciał widocznie coś jeszcze napisać. Zastano trupa z kawałkiem papieru i ołówkiem w ręku. Słowa jednak już skleić nie mógł,—na papierze widniało parę nieskładnych kresek. Co chciał powiedzieć w tej chwili ogromnej, gdy go Ojczyzna brała w przezacny poczet nigdy nie zapomnianych przykładów obywatelskiej cnoty i żołnierskiego hartu?...

BRONISŁAW MANSPERL (CHABER).

Gdyby nie przyszła była wojna, — ta najhartowniejsza próba miłości Ojczyzny — i gdyby organizacyjne życie młodzieży szło dalej trybem dotychczasowym — to na tych mnogich zebraniach, zjazdach i wiecach akademickich nie danoby nigdy pełnej wiary wystąpieniom Mansperla. Przemawiałby gorąco, krzątałby się skwapliwie. Tem niemniej zebrani przyjmowaliby to zawsze z pewnym półuśmiechem, mieliby nawet może względem kolegi pewien cień nieufności i niejedenby sobie pomyślał: Jaki też interes, prawdziwy, osobisty interes ma Mansperl w trosce swej o walkę za Ojczyznę?...

Mansperl był żydem. — Istotnie miał jeden wielki, prawdziwy osobisty interes w walce za Polskę: Przelewając za Nią krew, pragnął sobie zdobyć do Niej prawo, któregoby mu nikt odmówić nie śmiał.

Przed wojną należał Mansperl do odłamu tej młodzieży nierozważnej, która bojkotowała rosyjski uniwersytet warszawski, zabierała miejsca nam Galicyanom na naszych galicyjskich wszechnicach, albo włóczyła się po wszechnicach zagranicznych, marnowała tam grosz (80 franków miesięcznie) i wielkim

śladem szkoły w Cuneo idąc, organizowała się wojskowo (pieniędzy nie mają, a wojny się im zachciewa).

Mansperl należał w Paryżu do filarecyi i był jednym z założycieli tamtejszego Strzelca. Trudno się oprzeć wzruszeniu, gdy się wspomina ówczesną pracę młodzieży polskiej na emigracyi i okoliczności, jakie jej towarzyszyły. Kilku, kilkunastu, potem kilkudziesięciu przeważnie ubogich akademików wśród zamożnej na ogół kolonii, głuchej na wszystkie apele, w mieście tak olbrzymiem i wspaniałem, wbrew wszystkiemu i wszystkim, ćwiczy się wojskowo, radzi, urządza zjazdy, odnawia własnym kosztem groby żołnierzy-powstańców.

Emigracya młodzieży, brakiem szkół z Ojczyzny wygnana, pragnęła do niej wrócić i z bronią w ręku o szkoły się upomnieć.

Wybuchła wojna. Mansperl znalazł się w pierwszych szeregach. Był dzielnym żołnierzem, a potem dzielnym oficerem.

Szczególnie dobrze go pamiętam w pewnym momencie z czasu naszych walk pod Limanową. Szliśmy nocą forsownym marszem. Droga nam wypadała przez dolinę. Wiatr siekł ostrym szronem, cienie się goniły sine po śniegu, a księżyc grążył wszystko w bladem świetle.

Byliśmy tak strudzeni, że zdawało się nam, iż wieczność całą już tak idziemy. Brnęło się po kostki w wodzie, a pokruszone kawały lodu szklanym dźwię-

kiem towarzyszyły naszym krokom. Tam na zakręcie ścieżki spotkałem Mansperla, prowadzącego osłonę karabinów maszynowych. Wysoka jego postać rzucała wielki cień poza siebie. Twarz oświecona księżycem zdała się trupio-bladą. Jasno-niebieskie oczy grały świecącym blaskiem. Ostry, semicki nos rzucał cień na wąskie usta, fioletowe z mrozu. Na szarem tle płaszcza znaczył się czerwony sznurek oficerski przez piersi, jak cieniutka struga krwi.

Poszliśmy dalej razem, gadając o Paryżu i o kolegach z emigracyi, którzy nie zawiedli pokładanej w nich nadziei.

Mansperl należał do wypróbowanych oficerów piechoty I brygady. Zaś wypróbowany oficer piechoty, to wielka rzecz—to cała akademia niezmierzonych trudów, ciężkich niedostatków i wielkiego hartu ducha.

Bronisław Mansperl poległ w sławnej bitwie pod Kuklami, otrzymując dwie kule w głowę.

Podporucznik Mansperl znany był w szeregach, jako Chaber. Skąd mu się wzięło na ten „polny“ pseudonim?...

Mniemam, że miał w tem ambicyę bardzo dyskretną i delikatną, mniemam, że nie bez kozery obrał sobie nazwę tego właśnie kwiatu. Przypuszczam, że w ten sposób dawał niejako wyraz najpiękniejszym marzeniom swym — zdobycia sobie prawa do ukochania polskiej ziemi...

Niechże gorącą zroszone krwią, życiem i śmiercią ukochane marzenie podporucznika Mansperla wiąże się z nazwą tego polnego kwiatu, który strzębkami błękitu przetyka złote łany każdej polskiej wiosny.

D-r TADEUSZ ŻULIŃSKI.

Któż nie pamięta w pierwszych dniach walk obok poważnej, skupionej postaci komendanta, mło dego porucznika Żulińskiego! Jego twarz drobna, dziecinna, duże naiwne oczy, rumiane policzki, małe czerwone usta, spiczasta, chłopięca broda, postawa smukła, wysoka, nieomal wielka—tak bardzo odbijały od tej groźnej powagi, jaka cechuje sylwetkę Brygadyera!

Gdy razem jechali w samochodzie, gdy razem szli ku pozycyom, lub gdy razem zatrzymywali się gdzieś na spiesznym postoju, zdawać się mogło, że doświadczonemu wodzowi towarzyszy wybrany niejako przedstawiciel ostatniego pokolenia, które zerwało się walczyć o Polskę.

W walkach o wolność z wszystkich chyba pokoleń najmłodsze... Prawie że pachole, jeszcze nie młodzieńcze... Na taki wzrost i rozmiar w żadnych magazynach niema mundurów, ani butów... Ktoś w tym wieku, o jakim się dotąd nie mówiło w ekonomii wojennego wysiłku i trudu. Ktoś, co się dotąd nie liczył, a nagle sam liczyć począł swe świetne, forsowne marsze, zwycięskie bitwy, niebezpieczne przeprawy...

W tem pokoleniu czarującej niespodzianki,



Poruczn. D-r Tadeusz Żuliński.

rzuconej nagle do skutych stóp Ojczyzny, był Żuliński jednym z pierwszych! Należał do ludzi, których komendant Piłsudski szczególną otaczał pieczą, t. zn. którym najtrudniejsze powierzał zadania. Po uzyskaniu stopnia doktora medycyny wyjechał Żuliński w 1913 r. do Królestwa, gdzie prowadził cały szereg organizacyi strzeleckich. Oficerem liniowym podczas wojny był zaledwie dwa miesiące—sierpień i wrzesień 1914. Tej wielkiej radości, jaką daje otwarta walka w polu, tego szczęścia, jakiem jest zżycie się z szeregiem żołnierskim, wypadło mu się zrzec.

Należy ocenić, jak wielkiem było w tym momencie poświęcenie młodego porucznika, zamieniającego jasną i dźwięczną chwilę oficera liniowego na żmudną pracę podziemną w czasie wojennym w Królestwie.

Praca—w pośród najsprzeczniejszych o militarnym ruchu polskim pogłosek, wśród splątanej obrzydliwej gęstwiny oryentacyi, wśród komicznych kataklizmów zebrań „opiniowych"... Walka z argumentami bezczynu, z „zasadniczością" sprawy polskiej samej w sobie, z „wschodnimi rynkami", z przelewem bratniej krwi, gdy o własne idzie orły...

Podczas gdy najbliżsi koledzy - żołnierze po tamtej stronie walczą, giną, zwyciężają!

Żuliński przetrwał na stanowisku znakomicie, odprowadzając po oswobodzeniu Warszawy batalion ochotników do I brygady.

Został ciężko ranny w brzuch w walkach z dnia 20 na 21 października 1915 r. na Wołyniu pod wsią Kukle.

Przez kilka dni ważyło się jego życie. Chory

leżał w polowym szpitalu tuż za linią, we wsi, którą zdobywali kilka godzin temu. Rannego nie można było ruszać z miejsca.

Tymczasem przyszły nowe rozkazy, linia zaczęła się przesuwać.,. Młody adjutant — świetnych dni pierwszych i zorzy najpierwszej uczestnik — musiał już pozostać na miejscu.

Śnieg właśnie upadł tego dnia, zapruszyło szronem drogi, pogiuchotana wieś na pół znikła w zawiei, a na szare, rude pola wypełzły długie, suche ości śnieżnego nalotu.

Bataliony poszły naprzód, już treny przejechały... Jeszcze przekłusował drogą jakiś łącznik zabłąkany.

Porucznik Żuliński został sam, walcząc ze śmiercią, daleko, daleko od wiosny i słońca...

Nie pomogła najstaranniejsza opieka sanitarna. Umarł z odebranej w walce rany śmiertelnej dnia 5-go listopada 1915 roku.

MOGIŁY...

Te zapomniane po drogach ciche grządki — to- my i sen niezapomniany...

Ta mała, pusta wyniosłość wśród zbóż — to my i nasza duma wyniosła...

Ta maleńka fala gruntu przy szosie — to my, a w jednej fali całe morze...

To ledwie widoczne u ściany drzew stwardnie- nle doliny w guz niewielki—to my i upór nasz..

Te jakieś kopce po lesie,—jakiejże granicy ko- pce—to my...

Miejsce w cichutkich, słońcem i lazurem wio- sny emaliowanych sadach wiejskich, w błogosławio- nej ciszy urodzajów, miejsce odgrodzone drutem kol- czastym — to my...

Zrudziały znak na krzyż wyciętej darni, którą mak bryzgiem krwi nakrapia,—to my...

Na stoku górskim, w ogrodzie, grządka na za- wsze nieuprawna, z której szaleństwo dzikich dzwon- ków dzwoni i upojną goryczą tchnie pokrzywa, — to my i nasze szaleństwo...

Na ugorach porytych szramą wojny zebrane w jedno miejsce kamienie,—to my...

Sosna, której cienia nikt używać nie śmie, pod którą nikt nie spocznie na piaszczystym szlaku straceńców...

My jesteśmy nieustannym wybuchem polskiego ducha i męstwa, jesteśmy ciężką falą wieczności,—my mogiły... W nas zasypia młodziutkie pokolenie bohaterów na wieczny sen. W nas się chronią i tleją skrwawione mundury strzeleckie, my skarbimy tę pleśń cudowną i owe truchło święte, z którego się lęgnie piorun miłości i sławy świt.

Niech baczy, kto idzie lasem dziś i po wielu latach.. Niech czuwa, kto jedzie wśród złotego przelewu wiosny rozkwitów, niech pilnie słucha, kto dumny wzrostem stanął wśród równiny pod rozprężonym błękitem namiotu Lata... Niech tęskni—kogo dosięgnął miedziany grot jesieni, niech wspomina, kogo już zima obleka w mroźne aksamity...

Bowiem w lesie na garbach mogiły paprocie szczęściem prószą, w wiośnie rozkwitów weseli się zasługa, w namiotach lata niebieskiem drżeniem Sława się wdzięczy, miedziane groty jesieni haftuje krwawy znój, a czysty aksamit zimy gore w blaskach...

Lecz nie zrozumie kurzu szczęścia na garbach leśnych, nie złowi nadziei pod wiosnę, w lesie sławy nie ścignie... Jesień mu serca strzałą krwawą nie zbroczy, ciszą nie utuli zima... Lecz nie zrozumie pyłu szczęścia, kto nie zna ran zasklepionych wśród zboża... Kto nie zna sosny, pod którą nikt spocząć nie śmie, grzędy, na której dzwonią dzikie dzwonki i upojną goryczą tchnie pokrzywa...

Bo my jesteśmy morze rozkołysane—jesteśmy świetnym wybuchem polskiego ducha i męstwa... Bo my mogiły jesteśmy falą wieczności.



Mogiły nad Styrem.

SPIS RZECZY.

TEGOŻ AUTORA:

NIEZGUŁA (Powieść).
ZAWODY (Nowele).
PROCH (Powieść).
ZBYTKI (Nowele).
ISKRY (Nowele)
PIŁSUDCZYCY
BITWA POD KONARAMI.

Za pozwolaniem wojennej cenzury z dnia 13.II 1916 r.